

ROZMAITOŚCI

Warszawskie.

NIEDZIELA 3 MAJA.

— DODATEK DO KORRESPONDENTA. —

ROKU 1835.

SALVATOR ROSA.

(Ciąg dalszy.)

— »Nazajutrz po ostatniej nocy, którą przespałem spokojnie pod starą strzechą, (tak zaczął opowiadać Salvator), poszedłem ku góróm; chciałem odrysować którą z owych wspaniałych okropności, którym dziwiłem się codziennie. Co-za natura! Wszędzie zagasłe wulkany, ziemia bezustannie szarpana wewnętrznem trzęsieniem; tu wyschłe potoki, tam znowu toczące samotne swoje bałwany w rozwarłe przepaści; kraina, niegdyś wszystkiemi zbogacona dary, dzisiaj w niepłonną zmieniona pustynię. Człowiek nawet ulega wpływowi oścających go miejsc; głos jego staje się chrapliwy, twarz przybiera piętno ponure i tajemniczej energii; staje się podobnym do owych starożytnych barbarzyńców, których pamięć dochowały nam dzieje. Zacząłem szkic. Nagle uczulem, że mnie ktoś chwycił z tyłu; odwracam się... ostrze sztyletu zabłysło przy mych piersiach: wpadłem w moc bandy rozbójników. Trzeba się było poddać.« — Tu Salvator spojrział na Cecylię. — »Biedny mój Kastor chciał mnie bronić, lecz wystrzał karabinowy powalił go przy mych nogach.«

Julija zbladła, serce jej obumierało. Cecylja zarazem miotana zgrozą, politowaniem i ciekawością, przedstawiała głowę, piękny i szczególny malującą wyraz. Ojciec się zatrzymał. Twarz Salvatora pozostała dumna i pogodna, a wszelkie podejrzenie zniknęło.

— Sztylet przy twem łonie! — wykrzyknęła nagle Julija.

— Nie to, matko, potrafiłbym umrzeć; lecz najokropniejszą rzeczą były śmiechy, szyderstwa tych krwi łaknących ludzi! Jakże byli szczęśliwi, że pochwycili Signors malarza. I wszystkie te ohydne twarze przesuwaly się przede mną, i wszyscy mnie pytali, czyby-to nie była rozkosz i zaszczyt dla mego jenijusza, pracować podług takich wzorów. Uczulem, że nie mogąc pomścić się zniewagi, gniewby mnie tylko upodlił; zmusilem się więc pokryć moje oburzenie. Spokojność moja wrażenie na nich zrobiła. Dowódzca kazał mi przysiądz, że nie będę szukał sposobów ucieczki, a więzy, któremi ręce moje skrupowano, spadły natychmiast.

— I żyłeś pomiędzy nimi? — rzekła matka; — pożywałeś chleb nabyty kradzieżą i morderstwem? O mój synu!

— Wszak wam powiedziałem, że cierpiał, — odpowiedział Salvator z wyrazem delikatnej i dumnej czulości; — lecz cierpiałem jako mąż; oczy moje nigdy lzy nie uрониły, twarz nie wykryła udręczeń serca, żadna skarga nie wyszła z ust moich.

— Czy zapomniałeś o Bogu? — spytał Antonio.

— Co rano i wieczór kornie go wielbiłem; oni sami, ojcze, oni sami modlili się. Dziwne-to było ich życie! Przenikliwe gór powietrze, widok tych ludzi, tchnęły jakowas dziką poezją, i budziły natchnienie w mej duszy... O! nie jedna tu jest pamiątka, — rzekł, uderzając w czoło.

— Ci rozbójnicy musieli mieć potworne oblicza? — spytała Cecylja.

— Nie wszysej, — odpowiedział Salvator. — Wielu z tych ludzi należało do towarzystwa przez czy-

ste i piękne przywiązanie; jedyna zbrodnia odłączyła ich od niego na zawsze. Ci zachowali w głębi serca uczucie swej znikłej wielkości; zawsze są smutni, i odbłaskiem przeszłości otaczają terazniejsze swoje upodlenie.

— I jakżeś uciekł? — spytał mały Sylwio.

— Im samym winien jestem wolność.

Mimowolne wykrzyknienie ze wszystkich ust się wydobyło.

W godzinę potem Salvator poszedł do zakonnika, którego kochał, którego ojcowskie przywiązanie nie jedną radość sprawiło jego sercu. Ztamtąd udał się odwiedzić siostrę i Frankanzoniego.

Nazajutrz matka wzięła syna na stronę.

— Wiesz, czego ojciec pragnie, Salvatorze.... Z boleścią zawsze o tem myślał, że będziesz kiedyś malarzem.... Mój brat tak jest biedny, tak mu na wszystkim zbywa!

— Matko, — odpowiedział młodzieniec z pełną poszanowania stałością, — nigdy nie będę prawnikiem. Gdybym był lepszy, cierpliwszy, byłbym się poświęcił Bogu; chciałbym nieść pociechę bliźnim, spełniać najpiękniejsze ziemskie powołanie; ale nie czuję się do tego zdolnym. Co zaś być prawnikiem....

— To więc nie chcesz być pożytecznym dla twych siostr, twych małych braci? — przerwała Julija; — ojciec tak już stary, tak strudzony!..

— Matko, długobym potrzebował czasu, nimbym nabył wziętości i sławy; dozwól, niechaj czas ten poświęcę ulubionej sztuce! Pracować będę dzień i noc, pracować będę z pewnością przyszłego powodzenia. Będziemy wszyscy szczęśliwi. Frankanzani mówił nam często o tym Ribeira, o tym cudzoziemcu (*), który zjednał sobie łaskę Królów; ja czuję w sobie coś wyższego.

— Młodość jest zbyt zarozumiała, — odpowiedziała matka.

Nie zadługo potem namyślano się w domu Rosy nad przeznaczeniem Salvatora; dobry zakonnik był duszą rady, Antonio wyrokował.

— Ojczy, — mówił Signor Rosa, wskazując na syna, — widzi nędzę swego stryja i szwagra, a jednak stale trwa w swoim szaleństwie, które nas wszystkich do rozpaczki przywodzi... Mów do niego, przezwycięż nieugięty jego charakter. Ja, co jestem

(*) Ribeira bardziej znany pod imieniem *Espagnolet*.

miernikiem i architektem, zaledwie mogę się wyżywić; a jednak każdy potrzebuje domu, aby się schronić przed upałem, słońcem, zimnem; a malarzy tak rzadko kto potrzebuje. Prócz tego, — dodał Antonio, — największy jenijusz ziemski tak jest miernym robotnikiem, w porównaniu Twórcy wszech rzeczy. Twoje słońce, Salvatorze, nigdy nie będzie miało blasku słońca, które świeci tam wysoko; a tve powietrze, tve drzewa, istoty, któremi zaludnisz tve widoki, pozostaną zawsze nieruchome i nieme. Żaden wietrzyk nie zachwieje twoim liściem; daremnie dla dzieła twego nie będziesz szczędził darów rozbujającej wyobraźni, pozostanie ono na zawsze nieczulem, i niczem więcej nie będzie, prócz odrobiny farby rozrobionej olejem. Trawa drożyny, którą depcze pasterz, żyje, rośnie, woń wyziewa; ty nie podobnego utworzyć nie zdołasz. Mamże wspomnieć twoje pieśni? Zgasi je zawsze pierwotny śpiew ptasząt leśnych, i uroczysty głos pustyni, którego żaden człowiek wydać nie zdoła. Wierzaj mi, porzuć tve sny znikome.

— Signor Rosa, — mówił znowu z kolei dobry zakonnik, — nie pogardzajmy sztukami; świadczą one potęgę człowieka i są hołdem dla bóstwa. Powiedz mi, czy nie czujesz się uniesiony najżywszą miłością i najgłębszem podziwieniem dla Istoty, która utworzyła jenijusze, zdolne pojmować i wykonywać szczytne dzieła. Piękna świątynia, piękny obraz, czynią podobny skutek na duszach najmniej zastanawiać się umiejących. Niechaj Salvator przywiąże do dzieł swoich moralne wyobrażenie; staną się pożytecznymi i zdziałają wiele dobrego dla ludzi. Obraz jest książką, z której pospólstwo może czytać bez poprzednich nauk, jeżeli myśl wyrażona jest czysto i stosownie do pojęcia wszystkich. Dodam jeszcze, że Bóg dał każdemu pociąg do jakowegoś powołania; Salvator ma chęć do malarstwa, pozwól mu oddać się zupełnie wybranemu przez siebie zawodowi.

— Lecz, — odpowiedział ojciec, — cóż dotąd zrobił? oto całe dni pędził w pracowni szwagra, lub biegał po polach zbierać widoki, które mu nigdy ani szeląga nie przyniosą. Ojczy, ja się starzeję, siły moje codziennie słabną; wiele cierpiałem przez całe życie, a pomimo wszelkich usiłowań, jestem ubogi. Mamże umierać z okropną obawą, że młoda moja rodzina zostanie bez chleba, a mo-

że i żebrac będzie musiała? Biedna moja Julijska także pracowała, lepszemu warta losu.

— Nigdy matce mojej nie będzie brakować chleba! — zawołał młodzieniec. — O! dopóki mi ręce pozostaną, będę pracował, aby ją wyżywić!

— Nie wątpię o twojem sercu, — rzekł wzruszony ojciec; — lecz jakże bez znaczenia, opieki, walczyć się ośmielisz z szeroko-głośnie sławą Ribeiry? To szaleństwo myśleć nawet o tem.

— Oh! gdybym mógł dostać się do Rzymu, — rzekł Salvator, — umiałbym żądze moje w rzeczywistość zamienić. W Rzymie, kochany ojciec, nie pogardzanoby mną tak, jak w Neapolu, gdzie mnie widziano biednym i poczynającym; w Rzymie znalazłbym opiekunów i zachęcieli!

Antonio kiwał głową z niedowierzaniem, matka milczała; lecz pocziwy zakonnik ścisnął za rękę młodzieńca, a uśmiech jego zdawał się wyrażać: Nie trać otuchy, czy nie masz przyjaciela?

Najsmutniejsze przecucie Antonio Rosa wkrótce się ziściło; zachorował, a smutne jego spojrzenia świadczyły, że się nie podźwignie więcej. Rozdzierający-to był widok, patrzeć na tego starca, gdy głos jego umierający oddawał synowi, w którym sam wielkiej nie pokładał ufności, całą rodzinę pogrążoną w nędzy.

— Ty będziesz ich ojcem, — rzekł do Salvatora.

— Bądź spokojny, ojciec, — odpowiedział młodzieniec; — wyglądam z serca wszelkie zwodnicze omamienia, najświętsze uczucia zajmą ich miejsce. Od dzisiaj skończyła się moja młodość.

— Błogosławię cię! — rzekł starzec.

A ręka jego zlodowiała na czole klęczącego syna.

Salvator święcie dochował danego słowa. Neapol nie ujrzał go więcej pośród swoich uroczystości; nie łączył już melodyjnych pieśni z szumem błękitnych wód morza; zamilkła lutnia jego; cały dzień i w nocy nawet jeszcze pracował dla przyszłości. Lecz każdego dnia także serce jego większy ścisnął smutek; rzadszym i przymuszonym był uśmiech jego; cierpiący jenijusz powlekał zimną bladością tę twarz piękną i poetyczną. Bo wszystko w około niego zwiastowało nędzę; bo pogoda łagodnej twarzy Cecylii była pogodą poddania, rozdzierającą serce. Gdy z palającą i przepelnioną myślami głową, wyschłym sercem, wychodził z pod-

dasza, w którym założył pracownię, zamiast co by widok rodziny miał mu przynieść ulgę, czuł, że rana jego jątrzyła się jeszcze bardziej. Zawsze znachodził matkę i siostrę przy pracy. Julijska przędła na kołowrotku, Cecylija robiła pończochy lub szyla bieliznę. W nocy tylko dozwalała sobie rozkoszy płakania. W dzień miała dla wszystkich łagodne wyrazy, obłąkane i nabrzmiałe oczy jedynie boleść jej wykrywały. Salvator szedł przy dobrym zakonniku szukać pokoju dla swej udręczonej duszy. Nie skarżył się; lecz zawsze wracał utwierdzony w męstwie. Jednej jeszcze boleści brakowało do życia młodziana: ów zakonnik, widoczna jego Opatrzność, wysłany został na misyję. Salvator nie płakał po nim: już mu też nie stało.

— Niechaj Bóg nad tobą czuwa, — rzekł mu duchowny; — módl się, módl się często, a dni złe zamienią się w szczęśliwe. Pamiętaj, że rozbiłeś namiot twój na ziemi na czas ograniczony. Czyż podróży wiele się troszczy o miejsce, na którym noc tylko jedną spocznie.

W miarę jak zwiększał się jenijusz naszego artysty, zbywało mu na wszystkim do urzeczywistnienia obszernych i ognistych jego pomysłów. Nie miał płótna, nie miał farb; zaledwie mógł sobie dostarczyć papieru; matka i siostra wyniszczały się pracą na kupienie kawałka chleba. Mali braciszczowie, lichy odziani, zazdrościli świętecznych sukien innym dzieciom, i smucili się, że mają tak nędzne ubranie. Salvator słyszał nie raz, jak przypominali sobie owe czasy, gdy ojciec dawał im ciepłe suknie na Boże Narodzenie, a lekkie, jasne kolory upstrzone, na Wielkanoc. Każdy wyraz przenikał serce jego jak ostre kolce; zapominał, że własne jego odzienie nosiło nie jeden ślad starości i cierpliwej pracowitości Cecylii.

Raz wieczorem, poszedł do Neapolu z paczką rysunków ukrytą pod płaszczem. Długo błądził z ulicy na ulicę; przechodził około sklepów, w których wystawione były malowidła, szkice, rysunki wykonane, rysunki pomazane, a wszystko to pomieszane razem. Nakoniec przestąpił próg jednego z owych sklepów, i cichym głosem zapytał, czy Signor nie kupi czasem widoków. Człowiek, do którego przemówił, nie raczył nawet rzucić okiem na artystę; oschłe *nie*, było całą odpowiedzią. Salvator wybiegł ze sklepu, i z odwagą rozpaczną

wszedł do drugiego kramarza, potem do trzeciego, czwartego. Pycha jego upadła, a odmówienie nie budziło w nim więcej ani gniewu, ani podziwienia. U piątego zabłysł mu promyk nadziei. Poproszono go siedzieć. Musiał czekać, aż dwóch jego-nościów, niezmiernie ociężałych, niezmiernie rozwlekłych, ukończyło zdającą się nie mieć nigdy końca rozmowę; i tym razem, z podniesioną głową, śmiałym głosem ofiarował swe widoki. Zdziwiony kramarz bacznie przypatrywał się artyście, a widząc tę twarz wybladłą, ten płaszcz wytarty, uśmiechnął się. Targ nie był długi; Salvator oddał za kilka złotych arcy-dzieła gustu i mocy, i wrócił co prędzej do Renella.

— Matko moja, droga moja matko, anielska moja Cecyljo, — rzekł, ściskając je obiedwie, — oto przecie pieniądze, przecie coś zarobiłem.

Ścisnęło się serce Cecylii, widząc bledłość brata; pochyliła nadobną głowę na robotę; pierwszy raz po śmierci ojca płakała ze łkaniem w przytomności matki. Salvator wrócił do swojej samotnej pracy, i co tydzień zanosił swe plody kramarzowi.

Był-to piękny dzień dla młodego artysty, w którym ujrzał braci w nowe ubranych sukienki; sam ich zaprowadził do kupca; tam zamienili wytartą swą odzież za ubranie zupełnie świeże, i lekkim krokiem, z uradowaniem sercem, wrócili do Renella. Matka dostała ładny czepeczek koronkowy; czuła, pobożna Cecylja z zapalem przycisnęła do serca złoty krzyżyk zawieszony na wstążeczce, który dał jej Salvator. Dnia tego, cała rodzina zgromadziła się na obiad około tego stołu, u którego kilka siedało pokoleń. Salvator grał na lutni, i improwizował wiersze tchnące religijną tęsknotą.

A nazajutrz, zasiadłszy przed swoją stalugą, zaczął obraz, gdyż kupił wreszcie płótna, farb i pędzli. Ze wszystkich wypadków jego życia, pobyt u rozbójników był najdziwniejszy i najbardziej dramatyczny; niewysłowione łączyły się z nim wzruszenia: wspomnienia swoje przelewał na płótno. Wyobrazić sobie przestwór niepłodny, dziki, zasypany szczętami lawy; tło nieba czarne, na którym grzmie płomienna burza; obszerne kłęby kurzawy zaciemniają powietrze; ściągają się chmury. Pośród upadających drzewy, walących się skały, potokami gwałtownie wylewających z kamienistego łoża, na tej rozburzonej ziemi, błędzą w nieładzie

zwierzęta zatrwożone, dyszące cierpieniem, i ludzie, których każda noc krwią jest odznaczona, którym ta boleść fizyczna nadaje pozór duchów ciemności. Przez pomysł szczęśliwy, artysta-poeta stawiał jako sprzeczność z głupowato-dzikimi twarzami zbójców, istotę, którą na pierwszy rzut oka możnaby wziąć za nadziemską. Postawa jej nie-wzruszona i dumna; spojrzeniem, w którym promienieje myśl szczytna, ogarnia niebiosa i przenika burzliwe ich głębie; wielka boleść wienczy blade jej czoło. Uśmiech jej tchnie zbyt zło-wróżbym pokojem, by nie zdradzał serca obciążonego cierpieniem. Ta wzburzona natura uspokaja ją: „Jestem prawie spokojny, gdy znajduję zewnątrz siebie, pod palającym niebem, inne trudności, inne burze do zwalczania, niżeli burze własnego mego serca! (*)” Ubior jej jest malowniczy i bogaty, broń szklni za pasem; jest-to herszt rozbójników! Salvator, piękny zapałem, stoi o kilka kroków od tej nadzwyczajnej istoty.

Julija i Cecylja płakały, zobaczywszy ten obraz; nieme ich podziwienie zdawało się mówić: Gdybyśmy go mogli zatrzymać! Ach! on nie powinien w obce przejść ręce!—Salvator nie czekał nocy, aby go zanieść, wyszedł za dnia, pragnął całej dumy tryumfu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DAMY NA PRZYŁADKU DOBREJ NADZIEI.

Pewien najnowszy podróżnik pisze o damach z przyłodka Dobrej nadziei, że je tylko ujrzeć potrzeba, by powabnemi znaleźć. Są ładne, a niektóre nawet bardzo piękne. Z równą sztuką, jak przyjemnością tańczą angielskie *reels*, jak i walce niemieckie. Ubranie ich głowy z chwiejącemi się piórami strusimi, (co w ojczyźnie strusiów nie wiele kosztuje), i nader powabne suknie balowe, pomnażają ich wdzięki. Ale słysząc je mówiące, w jednej chwili omamienie znika. Bez dowcipu, bez ukształcenia, bez wiadomości, odpychają prawie od siebie. Wzrosły pomiędzy niewolnicami, a mowa ich nawet jest mieszaniną języków holenderskiego, angielskiego i wielu dyalektów południowo-afrykańskich.

(*) *Senancour.*